



OPOWIEŚCI PRZY
ŚWIECACH

Andrzej Galicki

Andrzej Galicki

Opowieści przy świecach

© Copyright by Andrzej Galicki & e-bookowo
Projekt okładki: Andrzej Galicki
ISBN 978-83-7859-034-7

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2012

Spis treści:

1. Tatiana	5
2. Iza z Adrii.....	36
3. Rusatka	70
4. Długi, czarny welon.....	99
5. A co byś zrobił, gdyby ona żyła?.....	148
6. Stacja Maki	189
7. Opowieści przy świecach.....	220
8. Tratwa Meduzy	247
9. Bartek.....	292
10. Browarek	322
11. Początek książki.....	365
12. Wampirzyca z PRL-u	411

1. Tatiana

W roku 1968, na początku października rozpocząłem studia w Płockiej Filii Politechniki Warszawskiej na wydziale Inżynierii Lądowej. Był to całkiem nowy oddział Politechniki, (dopiero drugi rok istnienia) i jeszcze nie wszystko było zorganizowane, uczelnia nie miała własnego budynku i mieściła się w „wypożyczonym” gmachu Technikum Mechanicznego, studenci spoza Płocka mieszkali bądź na stacjach prywatnych, bądź gościnnie w internacie tegoż to Technikum. Jedno skrzydło internatu przeznaczono na akademik i odpowiednia tablica umocowana została przy wejściu.

Tam właśnie skierowano mnie z Dziekanatu uczelni. Adres: ul. Norbertańska 11, pokój No 1.

Był to najbliższy głównego wejścia pokój czteroosobowy; dwa żelazne, wojskowe łóżka z obu stron okna i jedno piętrowe koło drzwi. Byłem pierwszym przybyłym, więc siłą rzeczy zająłem miejsce, które wydało mi się najwygodniejsze, z lewej strony, koło okna. Po pojawieniu się trzech pozostałych mieszkańców naszego pokoju okazało się, że wszyscy jesteśmy z Warszawy, podobnie jak duża część skierowanych tutaj studentów. Rozpoczął się rok akademicki. Chodziliśmy na zajęcia długą ulicą Kilińskiego (prosty warszawski szewc nie przypuszczał pewnie nawet, że tak długa ulica w Płocku będzie nosiła jego imię).

Jesień była piękna, jak zwykle w Polsce, ulica Kilińskiego wysadzana była kasztanami, po drodze na wykłady kopaliśmy te błyszczące, brązowe kulki wyglądające ciekawie na świat

spomiędzy liści. Ta niewyszukana zabawa skracała nam znacznie długą drogę do uczelni. Nigdy wcześniej nie mieszkałem w akademiku czy internacie, to nagłe przemieszczenie się w nieznanne mi wcześniej środowisko skłoniło mnie do zastanowienia się nad samym sobą i do porównania cech mojej osobowości z charakterami moich kolegów. I tutaj nastąpił pewien szok, okazało się bowiem, że porównanie to nie zawsze wypadło na moją korzyść. A właściwie, rzadko wypadło. Nie byłem ani najzdolniejszy, ani najsprytniejszy. Najsilniejszy też nie byłem ani najbardziej pracowity. Na dopełnienie mojej przeciętności przekonałem się, że nie jestem nawet najbardziej leniwy a była to ostatnia może deska ratunku, na którą liczyłem. Żadne porównania jednak nie były w stanie złamać we mnie głębokiego przekonania, że czymś się różnię od nich wszystkich, że ja nie jestem taki sam, może nie jestem ani lepszy, ani gorszy, ale na pewno trochę inny. Długo zastanawiałem się, na czym polega ta moja inność i skąd się bierze moja niezłomna pewność o jej istnieniu, kosztowało mnie to kilka nieprzespanych nocy, zanim w końcu zrozumiałem, o co chodzi.

Ja, po prostu, wiedziałem coś, o czym oni wszyscy nie mieli zielonego pojęcia. Ilekroć jednak próbowałem im to wytłumaczyć, moje starania odbijały się od ich obojętności jak tłusta mucha od szyby, nie było sposobu, aby przeniknąć poprzez pancierz ich ignorancji przy pomocy nieokreślonych argumentów, jakie miałem do swojej dyspozycji. Sprawa była tym trudniejsza, że wiedząc, co prawda z grubsza, o co mi chodzi, nie potrafiłem jednocześnie wyrazić tego znanymi mi słowami, czułem się tak, jakby mowa ludzka nie dysponowała dostateczną ilością dźwięków, aby przekazać moje myśli. Uczucie to powraca do mnie do dzisiaj, gdy, w rozmowie z niektórymi ze znanych mi osób, widzę w ich oczach nieskończenie wyraźne niezrozumienie i niecierpliwe oczekiwanie, kiedy wreszcie skończę, bo oni mają przecież coś ważnego do powiedzenia.

Zamykam się w takich przypadkach ze swoimi myślami jak żółw w skorupie, wypuszczając jedynie na zewnątrz banalne zarty i dowcipy, które zazwyczaj znajdują zainteresowanie i godną siebie uwagę. Ale to teraz. Wtedy byłem młody i ambitny.

Zrozumiałem, że szybę tę można rozbić jedynie czarami.

Nigdy nie byłem dobrym mówcą, należało zatem użyć broni, która jest czarem słowa mówionego, oczywiście miałem na myśli poezję. Przeznaczyłem na ten cel jeden z moich notatników akademickich w kratkę i zwykły długopis w kolorze niebieskim. Nie miałem zamiaru jak na razie publikować moich poezji, o wiele ważniejszą sprawą było nauczyć się najpierw wykrzyzczyć kipiące w moim wnętrzu prawdy, próba przekazania ich dalej była jeszcze sprawą odległą.

Pisanie poezji w akademiku było zadaniem kompletnie niemożliwym, tam nawet uczyć się nie dało w spokoju, a poezja? Okryłbym się prawdopodobnie płaszczem śmieszności, który przyłgnąłby do mojej skóry na zawsze, nie, ja potrzebowałem ciszy i natchnienia, kompletnego odizolowania od krzyków, przekleństw, odgłosów odbijania butelek wina i rzygania z ubikacji, czyli zwykłych, codziennych dźwięków męskiego akademika. Okazało się jednak, że mam wyjątkowe szczęście. Około 200 zaledwie metrów od budynku, gdzie mieścił się dom studenta, przy tej samej ulicy Norbertańskiej, zaczynało się ogrodzenie starego, nieczynnego już cmentarza, na którym znajdowały się mogiły osób cywilnych i wojskowych z okresu od połowy XIX wieku do końca drugiej wojny światowej. Odkryłem to miejsce podczas jednej z moich samotnych wędrówek po okolicy i od razu zakochałem się w panującym tam nastroju – melancholijna cisza, skąpe smugi światła przebijające się z trudem przez listowie dużych drzew, unosząca się w po-

wietrze atmosfera tajemniczego zadumania, to było właśnie to, czego akurat potrzebowałem.

Prawa, patrząc od wejścia, strona cmentarza, była nowsza, mogiły z okresu wojny hitlerowskiej i późniejsze. Lewa natomiast wyglądała o wiele ciekawiej, stare, rozpadające się już nagrobki i grobowce, zapomniane, porośnięte mchem i paprociami, pośrodku niewielka kapliczka – cerkiewka, w której odbywały się kiedyś nabożeństwa pogrzebowe. Chodząc po tym niezwykłym uroczysku starałem się przeczytać niektóre napisy na zarośniętych mchem płytach.

Zdawało mi się, że słyszę szepty tych, którzy leżą tutaj od tak dawna, jakby cieszyli się, że ktoś jednak zainteresował się nimi, że nie popadli kompletnie w zapomnienie, nie były to odgłosy wrogie mi, wyglądało raczej na to, że pozdrawiają mnie z drugiej strony życia.

Były to groby rosyjskie i polskie, oficerowie carskiej armii leżeli zgodnie z polskimi „buntowszczykami”, czyli poddanymi rosyjskiego zaboru. Przechodząc koło jednego z grobowców usłyszałem warknięcie. Zatrzymałem się przestraszony. Ciemna plama smyrgnęła nagle spoza grobu i skryła się pomiędzy krzakami. Nie zdążyłem przyjrzeć się dokładnie, co to było. Może lis? Słyszałem, że na cmentarzach jest dużo lisów, ale za wielkie to było na lisa. I za ciemne. Spojrzałem na pionową płytę z piaskowca, widniał tam widoczny jeszcze częściowo napis wykonany cyrylicą:

Piotr Iwanowicz Zaharow...

General-Major...

Tatiana Zaharowa...

Córka jego...

Więcej nie udało mi się odczytać. Jakieś zamazane daty i ornamenty, płyta była popękana i mocno nadgryziona już zębem czasu.

„Dlaczego ten pies (czy może nie pies) pilnował tego właśnie grobu?” – zastanawiałem się. Pilnował? Przynajmniej ja takie odniosłem wrażenie.

Wróciłem do akademika zadowolony z mojego odkryciem, nie podzieliłem się oczywiście z kolegami moimi zamiarami, to miejsce miało pozostać moim miejscem „twórczej zadumy”, moją samotnią.

Tak się składało, że z naszego pokoju tylko ja byłem studentem wydziału budowlanego, trzech koledzy studiowali na wydziale mechanicznym. Oni wołali na mnie „Murarz”, ja na nich „Ślusarze” i tak się rozróżnialiśmy. Któregoś popołudnia mieli się przygotować do pierwszego w tym semestrze, niejako próbnego, kolokwium. Mnie to oczywiście nie dotyczyło. Gdy tak rozpijali w ramach przygotowań kolejnego belta, zabrałem z szafki mój notatnik akademicki w kratkę i mój niebieski długopis i wyszedłem z pokoju.

Na dworze zaczynało dopiero szarzeć, ale gdy przekroczyłem bramę cmentarza i znalazłem się pod parasolem rozłożystych gałęzi, pożałowałem, że nie zabrałem ze sobą latarki elektrycznej. Przecież niedługo będzie tutaj ciemno, jak ja będę pisał te moje cholerne poezje? Zobaczymy. Udałem się w stronę kapliczki, to jej kamienne stopnie upatrzyłem sobie wcześniej na miejsce pracy, wiadomo, prawdziwa sztuka rodzi się na kamieniach, nie w wygodnym fotelu.

Usiadłem i otworzyłem mój zeszyt na pierwszej, czystej jeszcze stronie. Ująłem w zęby koniec długopisu i zamyśliłem się. Wokół panowała cisza, stworzona dla artystycznego natchnienia, ciężki zapach paproci i gnijących liści zaczął wypełniać

powoli moje płuca, w końcu przemogłem się i dotknąłem końcówką długopisu białej kartki.

„Ciężkie chmury zawisły nad miastem...” – zacząłem i spojrziałem w górę.

Jakie chmury, do cholery, nie ma żadnych chmur, przez przesmyk pomiędzy gałęziami widziałem szaro granatowe już niebo. Nie mogę zaczynać od kłamania, kto raz zacznie kłamać, będzie kłamał podobno do końca życia. Więc może inaczej:

„Po bezchmurnym niebie pędziły kłębiaste...” – Sam jesteś kłębiasty bałwan – pomyślałem i znów przekreśliłem pierwszą strofę.

„W ten cichy, jesienny wieczór...”

Tym razem przerwałem, bo poczułem na sobie czyjeś spojrzenie. Ciarki powędrowały mi po plecach, tak od pasa w górę, aż do karku. Powoli, ostrożnie, podniosłem wzrok znad zeszytu. Przedemną, na środku alejki siedział wielki, ciemny wilczur i patrzył mi prosto w oczy. Głęboko, badawczo, tak jak potrafi patrzeć tylko wilczur, wieczorem, pośrodku cmentarza. Próbowalem się podnieść, chciałem nawet powiedzieć „przepraszam pana”, ale warknął tak groźnie, że dałem spokój. Nie wiedziałem, co robić, poezje oczywiście wywietrzały natychmiast z mojej głowy. Sięgnąłem ręką odruchowo do kieszeni, wyciągnąłem cukierka „kukulkę” i podniosłem ją powoli do ust. Bestia uważnie śledziła każdy mój ruch, gotowa rzucić się na mnie w jednej chwili, oczy jej wpiły się nagle w moją „kukulkę” jak dwa lasery rubinowe (znałem już to urządzenie z „Młodego Technika”, więc wiem, o czym mówię).

– Ty, Igor, chcesz kukulkę? – zapytałem nagle, niespodziewanie dla siebie samego.

Rzuciłem cukierek w jego stronę. Złapał go w locie i zżarł natychmiast, nie ssał i nie cmokał tak jak ja, klapnął zwyczajnie szczęką i po cukierku. Wtedy podszedł bliżej i pozwolił mi pogłaskać się po wielkim, włochatym łbie. Zrozumiałem, że zostaliśmy przyjaciółmi.

Z głębi alejki dało się słyszeć gwizdanie.

– Igor, gdzie jesteś? – usłyszałem kobiecy głos. Pies podniósł głowę i krótko szczeknął, a na ścieżce pomiędzy grobami ujrzałem postać młodej kobiety idącej w naszym kierunku.

Gdy podeszła bliżej zobaczyłem, że jest bardzo jeszcze młoda i niezwykle piękna. Ubrana była w jasną, długa aż do ziemi sukienkę, spiętą kokardą wysoko, z przodu, tuż poniżej piersi. Takie stroje widzi się teraz tylko na starych filmach, dziewczyniny z naszej uczelni chodziły zazwyczaj w spodniach i trykotowych bluzkach. Ta miała na głowie w dodatku niewielki kapełusik w tym samym kolorze, co suknia, a w dłoni trzymała, na dopełnienie niedorzeczności swojego wyglądu, małą parasolkę słoneczną na cienkiej, długiej rączce, zakończonej gałką z kości słoniowej w kształcie kociej głowy.

Przyglądałem się jej z niedowierzaniem, nie wiedząc, co powiedzieć. Drapałem jednocześnie Igora za uchem, co wyraźnie mu się podobało.

– Dał pan Igorowi kukułkę? – zapytała podnosząc wzrok z psa na mnie.

– Dałem, inaczej zjadłby mnie. On naprawdę nazywa się Igor? Czy to pani pies?

Podeszła jeszcze bliżej i usiadła obok mnie, na schodkach.

– Tak, to Igor, ale on nie należy do mnie, to przyjaciel. – Złożyła parasolkę i oparła ją o schodki, obok siebie.

– Czy pani mieszka gdzieś tutaj blisko? – znów zadałem pytanie, może o jedno za dużo. Podobno nie powinno się zadawać prywatnych pytań nieznanym, nie należy to do dobrego taktu, ale obecność jej tutaj wydała mi się tak absurdalna, że nie mogłem się powstrzymać.

– O tak, całkiem niedaleko. Mieszkam z Tatką, mama została gdzieś tam, pod Moskwą.

Zwróciłem wtedy uwagę na to, że mówi z ledwo dosłyszalnym rosyjskim akcentem, lekko przeciągając środkową, lub ostatnią sylabę każdego słowa, co dodawało jej wymowie śpiewnego brzmienia, tak charakterystycznego dla tej pięknej, słowiańskiej mowy.

– Na imię mam Tatiana – powiedziała i wyciągnęła pierwszą rękę w moim kierunku.

– Andrzej – powiedziałem, również wyciągając rękę, która jednak nie napotkała nic na swojej drodze oprócz czystego powietrza. W jednej sekundzie skamieniałem ze zgrozy. Tatiana nie istniała. A przecież widziałem ją wyraźnie w świetle księżyca, które sączyło się przez tę szczelinę pomiędzy gałęziami, gdzie jeszcze tak niedawno widziałem ciemne już niebo. Widziałem jej bladą, jakże piękna twarz, widziałem prawdziwy zawód w tych pięknych, czarnych oczach pod klasycznymi lukami brwi, widziałem wreszcie łzy, które się w nich pokazały, i wtedy nagle przestałem się bać, żal mi się jej zrobiło, jakąś nieopisana rozpacz malowała się bowiem w jej spojrzeniu; zaryzykowałem pytanie:

– Dlaczego płaczesz? Czy mogę ci jakoś pomóc?

– Nie boisz się mnie? Nie uciekasz?

– W pierwszej chwili chciałem, – przyznałem się – ale gdy zaczęłaś płakać, przeszło mi. Teraz już ani myślę.

– Właśnie myślałam, że jesteś moją szansą, myślałam, że będziesz w stanie mnie dotknąć, tylko to mogłoby mi pomóc. Ale ty mnie nie czujesz, tak jak wszyscy inni. Bardzo się rozczarowałam.

– A Igor? Czy on cię czuje?

– Igor? Oczywiście – pogłaskała wilczura po głowie, on z psim oddaniem polizał jej rękę. Nagle coś zaświtało jej w głowie, wyciągnęła rękę w moim kierunku.

– Czy mógłbyś polizać? – zapytała z nadzieją – może to zadziała?

– Wołałbym drugą – bąknąłem.

Natychmiast wyciągnęła drugą dłoń w kierunku mojej twarzy. Polizałem powietrze, nic więcej.

– Tak myślałam – szepnęła rozczarowana – to za mało.

– Co więcej mogę zrobić?

– Musiałbyś we mnie uwierzyć, tylko tyle. Igor wierzy, dlatego mnie czuje. Musiałbyś poznać mnie lepiej, ale na to potrzeba dużo czasu, należałoby spotykać się wiele razy, może w końcu się uda. Chciałbyś się tego podjąć?

Zgodziłem się oczywiście, każdy poeta by się zgodził, a już zwłaszcza taki, który nie napisał jeszcze żadnego wiersza. Umówiliśmy się więc na następny dzień. Tatiana uśmiechnęła się i przesłała mi dłonią pożegnalny pocałunek. Po chwili już jej jasna suknia zniknęła w mroku cmentarnej alejki. Igor podniósł się bez słowa, machnął ogonem i podążył za nią.

Na drugi dzień rano, przed wykładami, przypomniałem sobie, że pozostawiłem na cmentarzu, na kamiennych schodkach mój zeszyt do poezji. Był jeszcze pusty, niewielka strata dla sztuki, ale zeszytu szkoda, taki notatnik akademicki A4, w sztywnych okładkach, kosztował sporo jak na studencką kieszeń. Po śniadaniu udałem się tam, aby odzyskać moją zgubę.

„Co za dziwne miejsce” – myślałem po drodze. Ani przez chwile nie wątpiłem, że uległem wczoraj wieczornej halucynacji. Może to przez tę cholerną poezję mózg mój wspiął się na wyższe poziomy wyobraźni i sam sobie stworzył: psa i Tatianę i całą resztę. A może to jakieś gazy ziemne, czy odurzający zapach paproci tak na mnie podziałały? Nie, paprocie chyba nie pachną aż tak, to może woń gnijących liści, powietrze było ciężkie i zatęchłe, pamiętałem dobrze, trzeba uważać, żeby nie nawdychać się jakiegoś paskudztwa. Po przekroczeniu bramy zatrzymałem się na chwilę urzeczony pięknem i tajemniczością tego miejsca. Przez odstępy pomiędzy drzewami promienie słoneczne wpadały ukośnymi smugami oświetlając stare, kamienne grobowce, porośnięte soczystą zielenią mchów, a wszystko to skąpane było w oparach porannej rosy unoszącej się kłębammi ku górze, parującej z liści traw i krzewów, od ciepła porannego słońca. Stałem tak, jak urzeczony, przez czas jakiś, takie widoki ogląda się tylko we snach, lub na klasycznych obrazach w muzeum. No tak, teraz wiedziałbym, o czym pisać mój pierwszy wiersz. Wtedy przypomniał mi się mój notatnik. Przechodząc koło znajomego grobu spojrzałem jeszcze raz na zatarty napis:

Tatiana Zaharowa

córka jego...

Dziwny zbieg okoliczności, ale to się zdarza, halucynacje mieszają się często z rzeczywistością, dużo się o tym pisze

ostatnio, zwłaszcza w USA, gdzie bada się efekty działania takich środków jak LSD, czy marihuana na ludzki mózg, okres „Dzieci Kwiatów” jeszcze się nie zakończył w Kalifornii, docierał nawet i do nas w bardzo mizernej formie, choć narkotyki nie były jeszcze dostępne na czarnym rynku. Ruszyłem dalej, tym razem nic nie wyskoczyło zza grobu, poranną ciszę zakłócał jedynie śpiew ptaków. Podeszedłem do kapliczki. Mój notatnik leżał grzecznie na najwyższym schodku, schyliłem się, aby go podnieść i nagle coś zauważyłem. Po drugiej stronie kamiennych stopni coś leżało w wysokiej trawie. Schyliłem się i podniosłem niewielką, damską parasolkę słoneczną na długiej rączce. Kościana kocia główka na jej końcu uśmiechała się do mnie wesoło. A więc, to nie były halucynacje? Ona naprawdę była tutaj wczoraj wieczorem? Teraz rzeczywiście miałem ćwieka w głowie. A co zrobić z tą parasolką? Zostawić? Ktoś może zabrać. Wróciłem do akademika niosąc parasolkę pod pachą. Szczęśliwie, koledzy byli na zajęciach, więc unikałem niewygodnych pytań. Postawiłem ją pionowo w swojej szafce, za ubraniami i też udałem się na wykłady.

Wieczorem, już po zajęciach, czekałem aż moi współlokatorzy wyjdą, żeby wyjąć parasolkę z szafy, nie doczekałem się jednak, siedzieli przy stole i grali w brydza „z dziadkiem”. Ja w brydza nie gram, jakoś karty mnie nie interesują. Zabrałem z nocnej szafki mój notatnik i wyszedłem z pokoju. Była mniej więcej ta sama godzina, co wczoraj, gdy wychodziłem. Jeżeli ona nie przyjdzie, może uda mi się jednak coś napisać. Szedłem powoli, niedbale, roztrzając po drodze spadłe liście, ale to była tylko poza obojętności, serce waliło mi coraz głośniejsz z każdym

krokiem, a gdy przekroczyłem już bramę, zacząłem się obawiać, że pobudzi tych śpiących ostatnim snem biedaków.

Usiadłem znów, tak jak wczoraj, na trzecim od dołu stopniu i otworzyłem zeszyt. Igor zjawił się natychmiast. Znów kosztowało mnie to kukułkę (na szczęście miałem ich jeszcze kilka w zapasie). Spojrzałem na moją pierwszą stronę i głośno przeczytałem:

„W ten cichy, jesienny wieczór”...

– W ten cichy... – ktoś powtórzył moje słowa śpiewnym głosem.

Stała obok mnie, przyszła znikąd, bez najmniejszego dźwięku, bez zapowiedzenia.

Zmieszałem się i prędko zamknąłem zeszyt.

– Piszesz poezje? – powiedziała z odrobiną zazdrości w głosie. – Ja też pisałam kiedyś, ale straciłam to, tak jak straciłam wszystko, co miałam.

– Czy ty nazywasz się może Tatiana Zaharowa? – zapytałem nagle.

Usiadła obok mnie, w tym samym miejscu, gdzie siedziała wczoraj.

– Tak, to moje nazwisko, widziałeś pewnie grobowiec? Piotr Iwanowicz, to mój ojciec. Był komendantem garnizonu carskiej armii, tutaj, w Płocku. Gdy uzyskał awans na generała-majora, skierowano go na to stanowisko, była to bardzo ważna placówka, garnizon miał bronić Warszawy przed atakiem pruskiej armii. Mazowsze należało do Królestwa Kongresowego.

Gdy przyjechaliśmy tutaj, matka moja już nie żyła, niewiele z niej pamiętam, została na jednym z podmoskiewskich cmentarzy. Wychowywał mnie mój ojciec, i guwernantka, Mme Ro-

zalie. Uczyła mnie francuskiego i rosyjskiego, polskiego niestety nie знаła, toteż wkrótce po naszym przybyciu tutaj spakowała swoje manatki i wróciła do Francji. Ojciec najął wtedy polską guwernantkę, Cecylię, to ona nauczyła mnie mówić po polsku. Ja myślałam, że my wciąż jesteśmy w Rosji. Nie rozumiałam, dlaczego ludzie tutaj mówią innym językiem, i dlaczego nas tu nie lubią, co zauważyłam dosyć prędko.

To Cecylia mi wszystko tłumaczyła, dużo się od niej nauczyłam, nie tylko mówić po polsku.

Zauważyłem, że Tatiana siedząc obok mnie, nieznacznie próbuje mnie dotknąć lewym łokciem. Nic nie poczułem, choć bardzo, bardzo chciałem.

– Za wcześnie – powiedziała smutnym głosem. – Wciąż we mnie nie wierzysz.

Dzisiaj ubrana była na ciemno, suknia była równie długa, do ziemi prawie, sznurowane trzewiczki na nogach, wszystko to jak wyciągnięte z teatralnej garderoby.

– Skąd ty bierzesz takie piękne stroje? – zapytałem. – W żadnym sklepie takich nie widziałem.

– Mam ich pełną szafę. Czy przyniosłeś moją parasolkę?

– Nie, została w akademiku. Dlaczego nosisz wieczorem słoneczną parasolkę?

– Przez sentyment, to prezent od Juliana, odnieś mi ją w poniedziałek, czy będziesz mógł? Muszę ją odzyskać.

Umówiliśmy się na najbliższy poniedziałek, nie powiedziała mi, dlaczego wcześniej nie może, tak jakby „wychodne” miała tylko w tygodniu. Być może spotkania te nadwyręzały jej siły i potrzebowała czasu, aby je zregenerować. Spróbowała podać mi rękę na pożegnanie, ale znów nic z tego nie wyszło, przesła-

ła mi więc, tak jak wczoraj, pocałunek poprzez powietrze i odeszła w mrok wraz Igorem nie odstępującym jej ani na krok.

Zostałem jeszcze przez chwilę na schodkach, zastanawiając się nad moją dziwną sytuacją. Co mi przyjdzie ze spotykania się z kimś, kogo nie ma?

Tak, pociągała mnie bardziej niż potrafiłbym to wyrazić słowami, była nieziemsko wręcz piękna, ale czy można obsypywać pocałunkami powietrze? Powiedziała, że gdy w nią uwierzę, poczuję ją. Lecz jak uwierzyć w coś, co nie istnieje? Studiuję przecież po to, aby zostać inżynierem, dla takich ludzi liczą się tylko byty materialne, Wszystko inne nie ma znaczenia. Więc po co piszę wiersze? Bo romantyk jestem, nieuleczalny. A poza tym, czy ja w ogóle coś napisałem oprócz tej jednej, naiwnej linijki?

Podniosłem do oczu otwarty zeszyt i jeszcze raz odczytałem wczorajsze bazgroły:

„W ten cichy, jesienny wieczór
chciałabym poczuć tve ciepło...”

Zbaraniałem. Nie przypominam sobie, żebym coś takiego napisał. A zresztą ja napisałbym: „chciałbym”, a tu stało przecież jak byk „chciałabym”, nakreślone wyraźnie innym charakterem pisma; delikatnym, równym. Czyżby ona? Niemożliwe, przez cały czas nie odrywałem od niej wzroku, wręcz pożerałem ją przecież spojrzeniem, nie wolno mi było dotknąć, więc patrzałem za dwóch, za trzech nawet. Poczulem się bardzo niespokojnie, naprawdę nie wiedziałem, co mam zrobić. Może powinienem się wyplątać szybko z tej przedziwnej historii, w której się znalazłem, lecz wiedziałem jednocześnie, że nie potrafię, że już jestem zaplątany po uszy i że nie mam najmniejszego zamiaru się wyplątywać.

Wiedziałem także już wtedy, że zrobię wszystko, o co mnie poprosi, popadłem w jakąś słodką niewolę, z której nie było prostej drogi na wolność.

Studia w Płockiej Filii PW miały w tym czasie jedną wielką zaletę. Wolne soboty. Wykładowcy i ich asystenci przyjeżdżali z Warszawy w niedzielę wieczorem specjalnym autokarem i wracali do stolicy w piątek wieczorem.

Tak więc mieliśmy wolne soboty i niedziele. Czasem udawało się i nam zabrać do Warszawy z profesorami, jeżeli były oczywiście wolne miejsca, należało dać po prostu “w łapę” kierowcy i sprawa załatwiona. Ale takie dwa wolne dni, z dala od wszelkich domowych rygorów, miały swój specjalny urok. Poznawaliśmy miasto: dwa kina, kilka restauracji i kawiarni, prędko rozpracowaliśmy to wszystko. Zwłaszcza jedną kawiarnię polubiliśmy bardziej niż inne. Nazywała się „Słoneczko” i położona była na samym stoku wysokiej, wiślanej skarpy, skąd rozciągał się przepiękny widok na płynącą dołem królową polskich rzek.

Zaprzyjaźniłem się w tym czasie z jedną ze studentek z mojego wydziału. Nazywała się Barbara Wolska i pochodziła z Płocka. Tu się urodziła, tu chodziła do szkoły „Małachowianki” i tutaj wreszcie rozpoczęła studia w tym samym czasie, co ja i na tym samym kierunku. Była ruda i ładna. A na nosie miała piegi. Baśka, to nie była koleżanka, to był raczej kumpel. Chodziła z nami na piwo, przeklinała tak jak my i lepiej było z nią nie zadzierać. Nic między nami nie było (wtedy jeszcze nie), raz próbowała, co prawda mnie zgwałcić po wypiciu butelki tanie-

go wina, ale się wyrwałem. Zapytałem na drugi dzień, co jej odbiło. Odpowiedziała, że znudziło się jej już być dziewczyną, a ja znalazłem się akurat pod ręką.

No to ja jej na to, że niech się weźmie za któregoś innego z naszej grupy, było nas około 25 osób, w większości chłopaki. Odpowiedziała, że to muszę być ja, bo oni mają łupież i nie myją zębów.

Od tego dnia wiedziałem, że muszę na nią uważać, wciąż ją lubiłem (może nawet jeszcze bardziej), ale miałem się na baczności, nie w głowie mi były teraz takie amory, moje serce zajęte było innymi sprawami.

Właśnie w „Słoneczku” siedzieliśmy oboje z Bašką i obalaliśmy kolejny browar. Dobrze się z nią rozmawiało, tak jakbyśmy znali się od zawsze, a nie od kilku zaledwie tygodni.

– Wiesz, co – powiedziała – mam w domu pieczarki, może byśmy usmażyli na patelni, moich starych nie ma, pojechali do Warszawy, wrócą dopiero jutro.

– A nie będziesz próbowała mnie przelecieć?

– Jeszcze nie teraz, zaczekam aż zmądrzejesz.

Propozycja była nie do odrzucenia. Po dwóch butelkach piwa byłem już trochę głodny, pieczarki pachniały jak zwariowane w mojej wyobraźni.

Baška mieszkała w dużym, starym domu przy ulicy Tumskiej, dom ten należał od pokoleń do rodziny jej ojca i jego wcześniejszych przodków.

Gdy weszliśmy do środka, poszła zaraz do kuchni pichcić pieczarki a ja rozglądałem się z ciekawością po obszernym salonie pełnym starych mebli i rodzinnych pamiątek.

Po chwili zapach pieczonych pieczarek wypełnił moje głodne zmysły, Baśka weszła do salonu, z gorącą patelnią i gazetą w rękach. Położyła gazetę na dywanie i postawiła na niej patelnię. Podała mi widelec.

– Oj, dostało by mi się, gdyby starzy zobaczyli jak podejmuję gościa – powiedziała. – Jak ich nie ma, zawsze robię to, co nie wolno, to moja największa przyjemność w tym cholernym domu.

Jedliśmy gorące pieczarki prosto z patelni, siedząc w kucki po obu jej stronach. Pieczarki były wspaniałe. Popijaliśmy je wodą „prosto z kranu”, jak oznajmiła dumnie Baśka, prawdopodobnie to też było zabronione.

Nagle widelec wypadł mi z dłoni. Zerwałem się i prędko podszedłem do ściany, naprzeciwko której siedziałem.

Na ścianie wisiało kilka starych fotografii w odcieniu sepia. Jedna z nich przykuła moją uwagę. Cztery osoby stały w miejskim parku, obok kwietnego klombu. Dwie młode pary. Damy miały na sobie jasne suknie do ziemi, panowie sportowe, letnie garnitury. Od jednej z tych postaci nie mogłem oderwać oczu, to była przecież Tatiana.

– Ja ją znam! – krzyknąłem bezwiednie. – Nazywa się Tatiana!

– Ale z ciebie czubek – zaśmiała się Baśka – oni wszyscy już dawno nie żyją, może od stu lat, a może dużo więcej.

O pomyłce nie mogło być mowy, wszędzie bym poznał tę twarz, a zresztą Tatiana trzymała w ręce parasolkę od słońca, fotografia nie była zbyt wyraźna, ale byłem pewien, że to, co widzę na końcu jej rączki, to kościana kocia główka trzymana do góry nogami.

– Zaczekaj, zaraz wracam – zawołałem i rzuciłem się do drzwi.

– Jeżeli wyjdiesz, to wrąbię wszystkie pieczarki – zagroziła Baśka.

Wróciłem biegiem po pół godzinie z parasolką Tatiany pod pachą.

– Popatrz – zawołałem – i rozpostarłem ją. Była rzeczywiście identyczna. W tej chwili zauważyłem, że Tatiana na fotografii ubrana jest w tę samą suknię, z wysoko upiętą kokardą, w której ujrzałem ją po raz pierwszy. Baśka spoglądała raz po raz to na fotografię, to na parasolkę, to wreszcie na mnie i nie bardzo wiedziała, co powiedzieć, nie zdarzało się to jej często.

– No, takich parasolek jest być może więcej – zaczęła ostrożnie – ale dlaczego mówisz, że ona ma na imię Tatiana?

– Przecież powiedziałem ci, że ją znam.

– A ja mówiłam ci, że jesteś czubek? I że oni wszyscy, to już historia? Nie żyją od wieków.

– Wiem, ale ja ją znam, tak jak znam ciebie, no może trochę mniej. Po co bym zmyślał? Zresztą skąd bym wziął jej parasolkę? Kto to są, ci ludzie na fotografii?

– Ten na prawo, to dziadek mojego ojca. I jego żona. Ten na lewo, to jego brat, wiem tylko, że zaginął gdzieś na Syberii, podobno konspirował przeciwko carowi.

A ta babka obok – nie mam pojęcia, nigdy nie pytałam.

Stojący obok Tatiany młody mężczyzna miał przystojną twarz z przedziałkiem pośrodku głowy, w jednej ręce trzymał rękawiczki z jasnej skórki, w drugiej czarną laseczkę ze srebrną rączką i monogramem, który nie był jednak czytelny.

– Chyba widziałam gdzieś na strychu tę laskę. Z takim właśnie srebrnym monogramem, nie pamiętam, jakie litery to były.

– Ja wiem, to są litery JM. Julian Wolski.

– Chodź – zawołała – tam jest taka stara walizka, chyba tam ją widziałam. Jeżeli będzie JW, to odwołuje, że jesteś czubek.

Ruszyliśmy oboje na strych, na szczęście było tam światło elektryczne.

W stercie zakurzonych gratów Baśka rzeczywiście wyszperała walizkę, o której mówiła. Patrzałem z biciem serca, jak otwierała wieko. Pośród starych papierów i rupieci leżała laseczka ze srebrną rączką. Nieco poniżej przytwierdzone do drewna widniały dwie, również srebrne, litery: JW.

Baśka przyglądała mi się z dziwną miną.

– Co się rzekło, to się rzekło – powiedziała. – Ty nie jesteś czubek. Ty jesteś prawdziwy, normalny, zwyczajny wariat. Największy, jakiego spotkałam w życiu. Rozdajesz autografy?

Poprosiłem Baśkę, żeby pożyczyła mi laskę Juliana na kilka dni, zgodziła się oczywiście, pod jednym jednak warunkiem, że wszystko jej wytłumaczę, co jej obiecałem.

Odgrzała resztę pieczarek (nie zjadła ich, tak jak obiecywała) i dokończyliśmy je razem. Opowiedziałem jej całą historię, lub prawie całą, pominąłem milczeniem moje poezje i to wszystko, co czułem do Tatiany, w końcu to była moja prywatna sprawa. Baśka słuchała bez przerywania i widziałem, że rzeczywiście wierzy w to, co mówię, ktoś inny nie uwierzyłby pewnie, ja sam bym nie uwierzył, ale dla niej wszystko było możliwe, sama była trochę stuknięta. I za to ją chyba najbardziej lubiłem.

– Zazdrosna jestem trochę o tę Tatianę – powiedziała – nie wiem dlaczego, ale jakoś mi zalazłeś za skórę.

– Coś ty, zwariowała? O Tatianę? Przecież jej wcale nie ma.

– Może nie ma, a może jest, to się dopiero okaże. Ale nie pozwolę, żeby mi ciebie ukradła, z kim będę chodziła na piwo do „Słoneczka”? Zresztą to jedyny pożytek, jaki z ciebie mam, ale dobre i to. Wiesz, co? Spróbuj dowiedzieć się czegoś od moich starych o Julianie, kto wie, może ojca dziadek coś mu opowiadał.

Umówiliśmy się następnego dnia w amfiteatrze, tymczasem spojrziałem raz jeszcze na starą fotografię na ścianie, zabrałem parasolkę Tatiany, laseczkę Juliana i powróciłem późnym wieczorem do akademika.

Amfiteatr, to nieco szumna nazwa, zagłębienie terenu w kształcie półkola, na skarpie wiślanej, w środku niewielka scena, kilka rzędów siedzeń usytuowanych wzdłuż łuku, przodem do Wisły, piękny widok, miejsce idealne na występy na świeżym powietrzu. Siedzieliśmy obok siebie patrząc w dal, po drogiej stronie rzeki widać było zabudowania Radziwia.

Baśka zajadała jabłko, które gwizdnęła po drodze z ulicznego straganu, czekałem aż skończy, po minie domyślałem się, że ma coś ciekawego do powiedzenia i że gra ze mną w kotka i myszkę, jadła specjalnie powoli, od czasu do czasu spoglądała na mnie spode łba, tak jakbym w czymś jej zawinił. Skończyła wreszcie i rzuciła ogryzek daleko, w krzaki.

– Starzy wiedzą niewiele – powiedziała – tylko to, co ci już powiedziałam. I jeszcze tyle, że to jest najstarsza fotografia w naszym domu, może jedna z najstarszych w całym mieście.

– To rzeczywiście niewiele – przyznałem.

– Ale odkryłam coś więcej, w tej samej walizce było kilka listów, które Julian pisał z zesłania do swojego brata. Nie pisał, dlatego został wysłany, pewnie nie mógł, listy mają jakieś pieczęcie, pewnie były cenzurowane. Wynika z nich jednak, że był zaręczony z Tatianą, ale został przed ślubem zesłany na Syberię z oskarżenia o spisek. Oskarżył go jakiś Czarny Wasyl, carski kapitan. Kiedy go zabrali, Tatiana się otruła, a Wasyla zaszlachtował ordynans jej ojca, Igor.

Tyle wynikało z tych kilku listów, mówię ci, prawdziwa Kobra w starym wydaniu. Kiedy masz się z nią zobaczyć? Ja idę z tobą.

– Za tydzień – skłamałem gładko. Wiedziałem, że gdybym powiedział prawdę, przyszłyby bez względu na moje protesty. Tak było prościej. Baśka tak na mnie spojrzała, że nie byłem pewien, czy mi wierzy. Gdy wracaliśmy z amfiteatru, znów ukradła jabłko ze straganu. Chciałem zapłacić, ale mi nie pozwoliła, powiedziała, że takie inaczej smakuje. Rozstaliśmy się przy ulicy Tumskiej. Gdy już skręciłem w Kolegialną, odwróciłem się i zapytałem:

– Czy ty kiedyś będziesz dorosła?

– A ożenisz się ze mną?

– Ja ożenię się z damą, a nie z taką, co jabłka kradnie – odpowiedziałem.

Natychmiast dostałem ogryzkiem w głowę. Próbowałem ją dogonić, żeby przetrzepać jej skórę, ale nic z tego, za szybka była.

Poniedziałek. Ślusarze poszli do kina „Przedwiośnie” przy ulicy Tumskiej. Grali „Wielką Ucieczkę”, cholernie chciałem zobaczyć ten film, ale miałem oczywiście inne atrakcje zaplanowane na ten wieczór. Zabrałem parasolkę, łaskę i mój notatnik i tak obładowany wyszedłem z pokoju. Po chwili wróciłem i zabrałem z szuflady kilka cukierków „kukułka”, wiadomo, w jakim celu. Wieczór był ciepły, przyjemny, szedłem wolno, a moje podekscytowanie rosło z każdym krokiem. Co też mnie dzisiaj czeka za tą bramą, to wszystko ma przecież jakiś swój cel, nic się nie dzieje bez powodu, tak jest świat skonstruowany.

Za bramą poczułem jak zwykle ciepłą, zbutwiałą wilgoć unoszącą się w powietrzu, przepelnioną znajomym zapachem dzikiego zielska i paproci. Zdawało mi się, że słyszę pozdrawiające mnie, znajome już szepty, nie byłem przecież całkiem obcy, witali mnie przychylnie, każdy gość, to prawdopodobnie rozrywka w tym odizolowanym od życia miejscu.

Usiadłem na znajomych schodkach, tyłem do kapliczki. Parasolkę położyłem w tym samym miejscu, gdzie ją znalazłem, łaskę ze srebrną rączką oparłem o swoje nogi i rozłożyłem notatnik akademicki na kolanach.

„W ten cichy, jesienny wieczór,

Chciałabym poczuć tve ciepło...”

Zamyśliłem się. Czy ona przyjdzie dzisiaj? Przyjdzie, powiedziała, że chce odzyskać swoją parasolkę. Kim ona jest naprawdę? I dlaczego wybrała sobie właśnie mnie?

„Chciałbym Cię poznać dokładnie...” – dopisałem ciąg dalszy wiersza, lecz w tym momencie zamknąłem zeszyt na kolanach, poczułem bowiem czyjąś obecność.

Tak, to był Igor. Wiedziałem, że jest moim przyjacielem, ale na wszelki wypadek przywitałem go rzuconą w powietrze kukułką. Młasnął natychmiast jęzorem i już jej nie było.

Tatiana pokazała się po chwili, Igor zawsze był pierwszy, tak jakby chciał sprawdzić, czy nic jej nie zagraża.

Ucieszyła się wyraźnie na widok parasolki, miała dziś na sobie jeszcze inną suknię, w kolorze purpurowym, z jakiegoś połyskliwego materiału. Piękna była jak marzenie, lecz gdy próbowałem spojrzeć jej w oczy, były jakies nieobecne, aż do momentu, gdy spojrzenie jej padło na czarną laskę Juliana i widoczny na niej monogram. Poderwała gwałtownie głowę i zawołała:

– To ty Julianie, od razu czułam, że to ty, wiedziałam, że kiedyś wrócisz, tak długo czekałam na ciebie!

I podniosła w górę obie ręce, aby rzucić mi się na szyję zanim zdążyłem wydusić z siebie jedno słowo. W tym momencie zamarła. Drzwi do kaplicy za naszymi plecami, otwarły się z łoskotem i na progu ukazała się straszliwa postać Kozaka w mundurze carskiego białogwardzisty.

Po czarnej brodzie spływała na mundur krew, która w bladym świetle księżycy wydawała się również czarna, a w dłoni trzymał on obnażony pałasz. Tatiana rzuciła mi się w ramiona z przerażeniem w oczach, ja równie przestraszony, nie byłem zdolny do najmniejszego ruchu. Czułem jak drżała przytulona do mnie, nigdy przedtem w moim życiu tak się nie bałem. Najwięcej przytomności umysłu wykazał Igor, poderwał się jak sprężyna i skoczył oficerowi do gardła, ten jednak podniósł na

czas rękę z pałaszem i ciął straszliwie, odrzucając biednego psa gdzieś daleko, pomiędzy zarośla. Wtedy oprawca spojrzął na nas oboje przytulonych do siebie i dygoczących ze strachu. Zamknąłem oczy, wołałem nie przyglądać się swojej własnej śmierci z bliska. Przez chwilę długą jak wieczność, czułem serce Tatiany bijące tuż obok mojego, aż nagle rozległ się huk głośny jak wystrzał z pistoletu. I nic, cisza.

Otworzyłem ostrożnie oczy i spojrzałem.

Drzwi do kaplicy były zatrzaśnięte, nikogo nie było w pobliżu. Wtedy Tatiana zaczęła całować moje usta i sam nie wiem jak to się stało, że znaleźliśmy się nagle oboje pomiędzy tymi paprociami upojeni ich zapachem i sobą, moje palce zaczęły się plątać wśród haftek i falbanek, nie wiedziałem, co robię i gdzie się znajduję, aż po chwili kochaliśmy się długo i gwałtownie, jakbyśmy oboje czekali na te chwile od lat. Gdy wreszcie opadliśmy kompletnie z sił i leżeliśmy obok siebie, słuchając szumu drzew ponad naszymi głowami, Tatiana szepnęła:

– Wierzyłam, że we mnie uwierzysz Julianie, tak długo czekałam.

Nie odpowiedziałem nic, nie wiedziałem, co powiedzieć. Prostować, że nie nazywam się Julian? Przecież miałem ze sobą łaskę z jego monogramem, zresztą bałem się, że zrobię jej tym krzywdę. Nie mówiłem nic. Tatiana wstała po chwili, powiedziała tylko: – Żegnaj – i oddaliła się po prostu w mrok, sama, Igor tym razem nie podążał za swoją panią.

Nie próbowałem nawet jej zatrzymywać, nie bardzo wiedziałem, co się ze mną dzieje.

Po kilku chwilach, gdy moje serce zaczęło wreszcie bić normalnie, podniosłem się i doprowadziłem do porządku moje

ubranie. Księżycy już nie było widać, po omacku wyszedłem na ulicę i skierowałem się w stronę akademika.

Następnego dnia postanowiłem pójść przed zajęciami na cmentarz i odszukać pozostawioną tam laskę, wczoraj nie pomyślałem nawet o niej, mózg mój pracował na innych, pozaziemskich obrotach. Należało zwrócić ją właścicielce, a poza tym może trochę liczyłem na to, że spełnia ona rolę „magicznej pałeczki” i przy jej pomocy będę mógł znów przywołać Tatianę i poczuć jej serce bijące obok mojego. Kto wie? Żeby tylko ten cholerny Wasyl nie pokazał się w pobliżu ze swoim pałacem, na samą myśl o nim zatrzymałem się w połowie drogi, po prostu nogi moje nie chciały iść dalej.

Przemogłem się jednak i z pewnym lękiem przekroczyłem cmentarną bramę. Powitalnych szeptów nie słyszałem tym razem (pewnie w dzień wszyscy tutaj śpią). Przechodząc obok grobu generała–majora i jego córki, zatrzymałem się na chwilę i odmówiłem krótką modlitwę.

Gdy doszedłem do kaplicy, zacząłem rozglądać się za moją zgubą. Leżała wśród traw, zauważyłem bez trudu lśniącą w świetle dnia, jej srebrna rączkę. Podniosłem laskę i wszedłem na kamienne schodki, gdzie jeszcze wczoraj siedzieliśmy oboje z Tatianą, przytuleni do siebie i dygocący ze strachu. Teraz, w biały dzień, miejsce straciło kompletnie atmosferę wczorajszej grozy. Podniosłem ze schodków mój zeszyt w kratkę, który już drugi raz spędził noc na cmentarzu i otworzyłem go. Do napisanych wcześniej słów, przybyła jeszcze jedna linia:

„Aby się wreszcie spełniło” ...

Aby się spełniło? – myślałem. – Co, aby się spełniło? Teraz już nie miałem najmniejszej wątpliwości, kto to pisał, choć nie rozumiałem sensu przeczytanych słów. Zamknąłem zeszyt i bez strachu podszedłem do drzwi kaplicy, nacisnąłem klamkę. Drzwi były zamknięte, zarosnięte pajęczyną, nic nie wskazywało na to, aby ktoś je otwierał ostatnio.

Stałem na stopniach schodów, tam gdzie wczoraj ujrzałem Czarnego Wasyla (byłem przekonany, że to był właśnie on) i rozejrzałem się. Stąd właśnie przyglądał się nam, siedzącym poniżej w przerażeniu, spojrzałem pod nogi – kamienie stopni pochłapane były czymś czarnym. Krew? Być może, kilka plam widniało na prawo od schodków, na żółtych liściach i trawach. Poszedłem w tym kierunku i rozchyliłem gałęzie krzewów. Igor leżał pomiędzy krzewami, straszliwie rozplątany cięciem pałaza, a nad jego biednymi szczątkami kołowały muchy.

Więc jednak, to się stało naprawdę. Przykryłem go kilkoma gałęziami i obiecałem wrócić po zajęciach, aby pochować go godnie.

Siedziałem już na swoim miejscu, gdy zaczął się wykład z geometrii wykreślnej. Ten temat lubiłem najbardziej, nie miałem problemów z wyobrażania przestrzenną i nie rozumiałem, dlaczego niektórzy studenci nie pojmują zasad perspektywy czy izometrii. Baśka wpadła jak zwykle w ostatniej chwili i usiadła na wolnym krześle obok mnie.

– Coś nowego? – zapytała szeptem.

Pokręciłem głową.

– Bujasz, widzę to po tobie.

Nie poruszyłem się nawet, pozornie wsłuchany w słowa profesora.

Otworzyła zeszyt i zaczęła coś bazgrać na ostatniej kartce. Po kilku minutach wydarła ją z zeszytu i podsunęła w moją stronę. Zacząłem czytać:

„Wtedy, w Amfiteatrze, nie powiedziałam ci wszystkiego. Był jeszcze jeden list, wynikało z niego, że Tatiana była dziewczyną i że dopóki nią była, Wasyl mógł ją porwać i zgwałcić.

Wtedy musiała by zostać jego żoną. Jakieś stare, kozackie zwyczaje. To dlatego Julian znalazł się na zesłaniu, z którego nigdy nie wrócił. Ona czeka na Juliana, żeby wyzwolić się, pewnie Czarny Wasyl wciąż ją ściga”.

Odsunąłem kartkę pełen podziwu dla Baśki i jej intuicji. Chwyliła ją po raz drugi i dopisała:

„Nie chodź tam, ona cię uwiedzie, a ja mam zamiar być pierwsza”.

Tego już było za dużo jak na koleżankę ze studiów. Odwróciłem głowę w jej stronę z poważną miną, ale wpatrzona nagle w wykładownicę zdawała się mnie nie zauważać.

Po zajęciach na uczelni zjadłem obiad w studenckiej stołówce i poszedłem do magazynu działu gospodarczego akademika pożyczyć szpadel. Tak przygotowany udałem się na cmentarz. Nie zapomniałem również o lasce Juliana i moim notatniku, kto wie, co może się przydarzyć? Po przybyciu na miejsce upewniłem się, że wokół nie ma żywej duszy (do pozaziemskich szeptów zdążyłem się już przyzwyczaić) i złożyłem cały mój majdan na schodkach wiodących do kapliczki.

Nie było jeszcze ciemno, więc bez trudu odszukałem Igora w zaroślach i powlokłem biedne zwłoki aż do grobowca generała–majora.

Zacząłem kopać. Szło mi niełatwo, ziemia była skalista i pełna korzeni, ale po jakimś czasie grób był gotowy, długi na półtora metra i dostatecznie głęboki, wykopałem go tuż obok grobowca tych, którym stary Igor tak wiernie służył przez długie lata.

Zwlokłem psisko do tej ciemnej dziury i żał mi się go zrobiło ogromnie, rzuciłem mu więc całą resztę moich ulubionych kukulek. Zdążyłem go polubić, tak wiele mieliśmy przecież wspólnego, obaj kochaliśmy Tatianę i kukułki i lubiliśmy stare cmentarze pełne tajemnych szeptów i paproci. Zasypałem grób Igora i uklepałem szpadlem zgrabny pagórek. Po zmówieniu modlitwy za ich troje, zabrałem szpadel i powróciłem na „moje schodki”. Usiadłem na moim stałym miejscu z zeszytem na kolanach i laską opartą o moje nogi. Wiedziałem, że ona już nie przyjdzie więcej, byłem nawet pewien, że nie przyjdzie, ale coś na dnie serca szemrało mi, że może jednak, że przecież nie wiadomo. Trochę liczyłem również na laskę Juliana, może ona zadziała jak talizman, kto wie?

Otworzyłem zeszyt i napisałem następną linijkę:

„Czekam, i tęsknie ogromnie...”

Nie mogłem pisać dalej, czułem jakiś ból narastający we mnie, przecież ja tak nie mogę siedzieć i czekać, ja coś muszę zrobić. Wstałem, wyprostowałem się i prawdopodobnie po to, aby wyrzucić ten palący ból z mojego wnętrza, zacząłem wołać w cmentarną ciemność:

– Tatiana!... Tatiana!... Tatia...

Przerwał mi łoskot za moimi plecami, lecz zanim zdążyłem się odwrócić, poczułem straszny ból w mojej głowie i zapadłem w kompletną ciemność.

Otworzyłem z trudnością oczy. Ujrzałem zamgloną twarz jakiejś świętej pochyloną nad moją twarzą. Głowa jej, którą widziałem do góry nogami, otoczona była gwiazdami na tle granatowego nieba. Ani rusz nie mogłem sobie przypomnieć, co to za święta, ale byłem pewny, że już ją gdzieś widziałem.

„Nie jest źle” – pomyślałem, wylądowałem w niebie, a mogło być o wiele gorzej. Głowa bolała mnie paskudnie, próbowałem się podnieść.

– Nie ruszaj się, do cholery – syknęła gniewnie święta znajomym jakby głosem.

„To chyba Święta Baśka” – pomyślałem już trochę przytomniej. Rzuciłem okiem w dół, w kierunku moich stop. Ujrzałem o kilka metrów dalej parkan cmentarza.

Leżałem na plecach, a głowę opartą miałem prawdopodobnie na jej kolanach.

– Leż spokojnie – powiedziała normalniejszym już głosem – za chwilę przyjedzie pogotowie.

I wtedy znów wszystko się urwało.

Tym razem obudziłem się na szpitalnym łóżku. Gdy zrozumiałem już po chwili gdzie jestem, próbowałem poukładać sobie wszystko w głowie. Nie bardzo mi to wychodziło, głowa wciąż mnie bolała, zwłaszcza przy najmniejszym ruchu.

Przechodząca pielęgniarka zbadła mi puls i przywołała dyżurnego lekarza.

Ten znów zbadał mi puls i poświęcił latarką w oczy.

– Nie jest źle – powiedział – siedem szwów musieliśmy panu założyć, twardy ma pan łeb.

Ta pani, co wezwwała pogotowie powiedziała, że spadł pan ze schodów. Czy to się zgadza?

– Tak – zdołałem zaskrzypieć.

– No, dobrze, bo wyglądał pan jak Kmicic po pojedynku z Wołodyjowskim, rana zupełnie jak od szabli. Gdyby to był postrzał – musiał bym zgłosić na milicję, ale rana od szabli? Tego nawet nie ma w formularzu – zażartował. – Dwa dni na obserwacji i wypisujemy. Potem tylko wizyta na zdjęcie szwów.

Baśka przychodziła codziennie, ale tylko na chwilę. Nie chciała ze mną rozmawiać, widać było, że jest na mnie wściekła.

Gdy zostałem wypisany ze szpitala, zaraz poniosło mnie na cmentarz. Odszukałem szpadel, laskę Juliana i mój zeszyt i zataszczyłem to wszystko z trudem do akademika. Gdy znalazłem się sam, zajrzałem do zeszytu. Tak, była tam jedna linia dopisana, tym samym co zawsze charakterem pisma:

„Żegnaj, i nie myśl już o mnie...”

Tylko tyle, nic więcej.

Z Bašką spotkałem się po południu, w Amfiteatrze. Gdy przyszedłem, siedziała już, twarzą do Wisły i jadła jabłko.

– Kupiłam – powiedziała z ponurą miną, patrząc gdzieś daleko, za rzekę.

– Tak, to ja cię wytargałam za parkan cmentarza. Wiedziałam, że tam poleziesz. Usłyszałam jak ją wołasz i tak cię znalazłam. Leżałeś na schodkach i krwawiłeś jak wieprz. Zanim by cię znaleźli, już by było po tobie.

– Wiem – odpowiedziałem tylko, nic więcej nie przychodziło mi do głowy.

Podąłem jej laskę Juliana, którą przyniosłem ze sobą.

– Zwracam pamiątkę rodzinną.

– Możesz ją sobie zachować, mnie źle się ona kojarzy. Teraz twoja kolej. Opowiadaj.

Pomyślałem przez chwilę.

– A ożenisz się ze mną? – zapytałem nagle. Popatrzała mi prosto w oczy.

– Zobaczymy czy trochę zmądrzałeś.

Przyglądałem się jej, siedzącej tak w pomarańczowych promieniach zachodzącego słońca i uśmiechnąłem się.

Właściwie, gdyby ją tak trochę uczesać...